

Teksty Drugie 1996, 2-3 , s. 250-254



# My i styl

Witold Gombrowicz

Tłum. Ireneusz Kania

# Archiwalia

*Witold Gombrowicz*

## **My i styl\***

Analizując kryzys stylu w sztuce naszych czasów piwn polski profesor dochodzi w swym eseju do wniosku, że kryzys ów jest świadectwem głębokich perturbacji u człowieka współczesnego. Według autora tylko ponowne przebudzenie się w tym człowieku wiary i zmysłu metafizycznego może przywrócić mu równowagę duchową, a w konsekwencji i styl. Taka teza nie wydaje się zbyt przekonująca. Po pierwsze, trudno przyjąć, iżby sztuka była bezpośrednim wyrazem stanu ducha całej ludzkości. Twórczość artystyczna, będąc złożoną grą kompensujących się wzajem elementów, niezbyt dobrze sprawdza się w roli materiału psychologicznego do takich wniosków; jakoż style najdoskonalsze rodziły się zawsze w epokach burzliwych i duszach niezrównoważonych. Poza tym gdzież to autor znalazł epokę, która nie byłaby głęboko dysharmoniczna? Kiedy na jakąś epokę patrzymy z od-dali, wszystko w niej wydaje się nam cudowne, lecz jest całkiem możliwe, że za tysiąc lat jakiś inny profesor z podziwem będzie się wyrażał o stylu naszej epoki, że złością zaś — o stylistycznym rozprzężeniu swojej. Chodzi o to, że my nawet jeszcze nie wiemy, co jest istotą naszego stylu.

---

\* W. Gombrowicz *Nosotros y el estilo*, „La Nacion” 30 avril 1944. Tekst ten wchodzi w skład przygotowywanego przez Wydawnictwo Literackie tomu *Variów*, mieszczących rozproszone pisma Witolda Gombrowicza.

Zresztą podstawowa słabość tego sposobu myślenia ma źródło w tym, co wydaje się jego największą siłą. „Ludzkość musi powrócić do wiary”: oto wzorcowe, typowe *pium desiderium*, i nic więcej. Tak samo moglibyśmy powiedzieć, że chory powinien powrócić do zdrowia, a łotr — stać się świętym. Jeśli ludzkość nie ma wiary, to z pewnością nie stanie się znów wierząca tylko dlatego, iż przysłała do wniosku, że brak wiary szkodzi stylowi i że lepiej jest w coś wierzyć. Wracamy do wiary, bo zaczynamy wierzyć, a nie na skutek przekonania, że brak wiary jest niedobry. Toteż na razie ludzkość niewiele może zrobić; musimy czekać na natchnienie, na inwazję nowej, powszechnej wiary, jedynej rzeczy, która może nas ocalić przed stopniowym rozkładem. Jeśli takie natchnienie nie przyjdzie, zginiemy. Wziąłem za punkt wyjścia tę książkę, gdyż wydaje mi się charakterystyczna, zarówno co się dotyczy wniosków, jak i tematu. Nie wiem, czy ostatecznie nasza epoka będzie miała mniej wiary i mniej stylu niż poprzednie, ale pewne jest, że niedostatek tych elementów daje się odczuć obecnie bardziej aniżeli w przeszłości. W ostatnich dziesięcioleciach wszyscy głosili pilną konieczność walki z tym ateistycznym i chaotycznym stanem duszy, co niby jakiś pasożytniczy demon wyniańczył całe nowe pokolenie; oglądaliśmy też rozliczne wysiłki, zbiorowe i indywidualne, aby odnaleźć boga wspólnego, powszechnego, jedyne i absolutnego. Jaki jest rezultat? Religia katolicka, w przeszłości najpotężniejsze źródło życia duchowego, stoi dziś w obliczu ogromnej lawiny obojętności i ateizmu. Poza jej obrębem usiłowano wynaleźć nowe mity i nowe wiary, wszelako okazały się one jeszcze bardziej bezbożne od ateizmu. Albowiem o ile ten, kto nie wierzy w nic, jest ateuszem, to jeszcze większym ateuszem jest ten, kto w sposób sztuczny i z powodów oportunistycznych wzbudza w sobie „ślepą wiarę”. Nasza epoka obfituje w bogów będących niczym więcej niż tylko narzędziami higieny psychicznej, i w religie nie będące celem dla siebie, lecz jedynie pretekstami do czegoś innego. Oto jakiś naród gotuje się do wojny, więc żeby wytworzyć w sobie siłę, przez kilka lat, drogą nieustannej presji zbiorowej narzuca sobie „ślepą wiarę” w przywódcę. Pisarz stwierdza, że „trzeba wierzyć” i na skutek tego kształtuje swoje najgłębsze przekonania. W takich razach jest obojętne, czy wierzy się w Boga, czy w kurę; idzie tylko o to, by za pośrednictwem boga-pretekstu jakoś się zorganizować. Coś takiego się dzieje, gdy ludzkość w sposób zanadto świadomy pragnie uleczyć swoją podświadomość. Ci, którzy głoszą konieczność duchowej jedności, zapominają, że takich rzeczy nie sposób wytworzyć

rzyc, one dzieją się same. Zresztą, chociaż sytuacja jest smutna, a nawet groteskowa, nie ma powodu do jałowych biadań i ponurych proctw. Zakrwawione pole współczesności jest żyzne, a jedyną jego wadą jest to, że nie zawsze rodzi owoce, jakich oczekiwaliśmy. Również kryzys stylu bynajmniej nie jest czymś beznadziejnym, przeciwnie, kryje w sobie poważne możliwości nowego, bujnego rozwoju, których lekceważenie byłoby niemądre. Zamiast wszelako pytać: „jak osiągnąć styl”, trzeba nam ten problem postawić nieco inaczej: „jak wymykać się stylowi”, albo „jak żyć i tworzyć wśród natłoku różnych stylów?”

Rysem szczególnym problematyki artystycznej jest to, że im bardziej oddala się od życia codziennego, tym bardziej arbitralna się staje. Po co zgłębiać tajniki stylu takiego bądź innego dzieła sztuki, jeśli — skoro koniec końców każdy jest w pewnej mierze artystą, i tak musi szukać własnego wyrazu i formy, własnego sposobu bycia, a więc w rezultacie musi w każdej chwili rozwiązywać problemy stylu? To pewne, iż nasza obecna forma jest zła. Nie tylko artyści, lecz każdy człowiek kulturalny ma dzisiaj nieprzyjemne wrażenie, że wszystko, co mówi i myśli, ba, sam jego sposób uzewnętrzniania się i określania wobec innych — nie jest adekwatny do jego wewnętrznej rzeczywistości. Chcemy wyrazić swoje przekonania i nagle spostrzegamy, że mówimy jakieś okropne głupstwa. Wygłaszamy mowę, która wychodzi nam przesadzona, fałszywa i sztywna. Poszukujemy wiary — i oto stwierdzamy, że ta wiara jest głupsza i mniej ludzka niż my sami. Nasze pokolenie podobne jest do *gentlemana* ubranego w niedopasowany strój — zbyt obszerny bądź zbyt ciasny, o trzech rękawach i tylko jednej nogawce. *Gentleman* tak ubrany raczej nie uniknie śmieszności, i właśnie śmieszność prześladowuje nas we wszystkich naszych wierzeniach, czynach, słowach, postawach. To oczywisty znak kiepskiej formy. Znakiem drugim jest niesłychana łatwość tworzenia sobie najrozmaitszych stylów. Znakiem trzecim jest rosnąca nieufność wobec wszystkiego, co „przydarza się” nam mówić, sądzić, robić. Są też rozmaite inne znaki, dość dramatyczne, ale nie sposób wymieniać je wszystkie. Cóż jednak robi ktoś znalazłszy się na przyjęciu w tak dziwnym „fraku”? Postara się wszelkimi sposobami przekonać innych, że to nie on sam jest śmieszny, tylko jego „frak”, i że „frak” nie jest nim samym, oraz że on jest lepszy od swego „fraka”. Krótko mówiąc, będzie usiłował za wszelką cenę zdystansować się psychicznie od swego „fraka” i oddzielić się od niego, przynajmniej we własnej świadomości.

Taką mniej więcej postawę przyjmuje nasze pokolenie wobec stylu. Przez długi czas robiliśmy wszystko, co możliwe, żeby zdobyć styl; teraz jednak, przebywszy rozmaite piekła, zaczynamy zmieniać zdanie. Dziś chodzi już nie tyle o uzyskanie stylu, ile o ucieczkę, odizolowanie się od stylu. Gdyby fachowcy od estetyki, zamiast poszukiwać swoich prawd w książkach, zajęli się bezpośrednią obserwacją ludzi, prawdopodobnie doszliby do tego samego wniosku. Ale sztuka jest tak powolna i konserwatywna, że z pewnością jako ostatnia wyciągnie konsekwencje z tej psychicznej ewolucji, choć mimo wszystko nie brakuje oznak świadczących o zmianie zachodzącej w samej sztuce, ludzie zaś, którzy mieli okazję poznać najmłodsze środowisko literackie w Europie, raczej nie mają w tym względzie wątpliwości. Stopniowo pośród tych młodych narasta świadomość, że nie potrafią stworzyć dzieł doskonałych, że wszystko, co napiszą, będzie mniej lub bardziej kiepskie, przypadkowe, wręcz poniżej ich możliwości. Stąd u wielu artystów współczesnych zaznacza się tendencja do dystansowania się od własnych dzieł — w tej samej mierze, w jakiej artysta dawniejszy pragnął się utożsamić ze swoim; dlatego usiłują oni za pomocą wszelkich środków — humoru, groteski, ironii, zderzania rozmaitych stylów, parodii itd. — usytuować się powyżej tego, co piszą. Biedny Jarry, autor słynnego *Ubu Króla*, nigdy sobie nie wyobrażał, że absolutna parodia może stać się czymś bardzo *serio* i pilnie potrzebnym.

Wbrew wszelkim ekstrawagancjom, do jakich może nas popchnąć ten nurt, rysuje się oto coś o podstawowym znaczeniu: być może po raz pierwszy w dziejach zaczynamy poważnie troszczyć się o formę. W rzeczy samej nigdy jeszcze człowiek nie miał tak silnej świadomości przepaści między własną formą i własnym ja, ogromnej roli, jaką forma odgrywa w jego życiu. Zaczynamy zdawać sobie sprawę ze stylu właśnie dlatego, że nasz styl jest zły. Zaczynamy rozumieć, że jeśli ktoś wypowiada głupstwo, to niekoniecznie dlatego, że sam jest głupi, lecz że jego sposób wystowienia się kuleje; i że jeśli ojciec ruga syna, to niekoniecznie dlatego, iż naprawdę odczuwa gniew, lecz dlatego, że i on „gra rolę ojca” dostosowując się psychicznie do pewnego formalnego schematu. Do niedawna interpretowaliśmy wszystko jako bezpośredni wyraz uczuć, jednak z każdym dniem widzimy jaśniej, że człowiek, bezustannie poszukując formy, wyrazu stylistycznego, wręcz tworzy w sobie uczucia, aby dostosować się do swojej „oficjalnej osobowości”. W ten sposób czynnik formalny coraz natrzejwiej miesza się do naszej psychologii, dotąd będącej właściwie

czysto emocjonalną. Bardzo być może, iż zapoczątkuje to całkowitą odnowę naszego życia.

W tym miejscu trzeba podkreślić, że ta konieczność wystąpienia przeciwko stylowi i „zapanowania nad nim” nie jest ani tak błaha, ani tak szalona, jak mogłoby się wydawać. Przeciwnie, jest to postawa równie naturalna i zasadna jak postawa odwrotna u artystów przeszłości. Rzecz w tym, iż obok siły zmuszającej nas do utożsamiania się z naszą formą istnieje druga, nie mniej ważna, skłaniająca nas do ucieczki. Człowiek, istota z natury niedoskonała, ciągle się rozwijająca, nigdy nie potrafi osiągnąć stylu doskonałego. Nasza forma nie pochodzi bezpośrednio od nas, w rzeczywistości nie jest „nasza”, lecz tworzy się w ludziach, jest produktem współżycia. Oto dwie przyczyny, dla których postulat absolutnej harmonii między człowiekiem i stylem to jedynie senne marzenie.

*przełożył Ireneusz Kania*